

Czy moglibyśmy być bogatsi?

11 lipca 1996 roku weszliśmy do Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, skupiającej 30 wysoko rozwiniętych, demokratycznych państw. Czy uważał pan wtedy – wprowadzając Polskę do OECD – że oto wkraczamy do elitarniej I ligi światowej?

Na pewno był to milowy krok i najważniejsza data na ścieżce ekonomicznych przemian prowadzących Polskę do Unii Europejskiej. Wtedy był to tylko jeden uroczysty dzień, który stanowił zwieńczenie wieloletnich wysiłków w budowie gospodarki rynkowej. Ani wtedy, ani jeszcze przez wiele następných lat nie będziemy zaliczać się do najbogatszych i najbardziej rozwiniętych państw świata. Wejście do OECD oznaczało jednak uznanie przez międzynarodową społeczność instytucjonalnego postępu we wdrażaniu gospodarki rynkowej, demokracji politycznej oraz społeczeństwa obywatelskiego.

W czym pomogła nam obecność w OECD?

Czasem uważa się, że realna pomoc ma miejsce tylko wtedy, gdy „dają pieniądze”, OECD zaś ich nie daje i nawet nie pożyczka, w odróżnieniu od takich międzynarodowych organizacji jak choćby Międzynarodowy Fundusz Walutowy czy Bank Światowy, które skupiają aż 184 państwa. OECD nie ma też takiej siły regulacyjnej, jak licząca 149 członków Światowa Organizacja Handlu, która wymusza na krajach członkowskich działania liberalizujące międzynarodową wymianę. OECD to organizacja obejmująca tylko dojrzałe gospodarki rynkowe, choć adresująca część swojej aktywności także do gospodarek mniej zaawansowanych. Zajmuje się ona analizami ekonomicznymi oraz pracą badawczą i doradczą, a nade wszystko udziela pomocy technicznej w przeprowadzaniu reform strukturalnych i przygotowywaniu ekspertyz oraz właściwych rozwiązań instytucjonalnych ułatwiających sprawne funkcjonowanie i ekspansję przedsiębiorczości w pełnokrwistej gospodarce rynkowej. OECD ma istotny wpływ na jakość rynkowych regulacji w krajach członkowskich, które okresowo ocenia w swoich publikowanych i opiniotwórczych raportach.

Czy takie działania mogą zastąpić pomoc finansową?

Rzecz nie w zastępowaniu, ale we współistnieniu. Pomoc techniczna i dobre doradztwo bywają nawet ważniejsze niż tzw. pomoc finansowa, która często nie jest żadną pomocą, lecz komercyjnym kredytem udzielanym na zasadach rynkowego oprocentowania. „Pomoc” finansowa to najczęściej niezły interes dla tych, którzy jej udzielają.

Gdyby 10 lat temu nie było mety etapu z napisem „OECD”, do której dobiegliśmy, kiedy to w Paryżu podpisywałem w imieniu Rzeczypospolitej akt wstąpienia do tej organizacji, to dziś bylibyśmy słabsi strukturalnie, instytucjonalnie, politycznie. Polska, spełniając kryteria ustalone przez OECD, przyjęła szereg ustaw wprowadzających korzystne dla rozwoju regulacje systemowe (wchodząc przy okazji na odciski różnych grup interesów) dotyczące np. bankowości, przepływów kapitałowych, inwestycji zagranicznych, ochrony środowiska i zagospodarowania odpadów, ochrony własności intelektualnej, rynku audiowizualnego.

Doprowadzenie Polski do OECD, szczególnie po nieskutecznym szoku bez terapii z początku lat 90., to było poważne ostrzeżenie dla naiwnego polskiego neoliberalizmu głoszącego, że gospodarka rynkowa polegać ma na jak najdalej posuniętej deregulacji i liberalizacji oraz szybkiej prywatyzacji. Członkostwo w OECD wymagało wiele więcej, bo odpowiedniej regulacji i budowy instytucji, czyli tworzenia reguł gry, które muszą być zrozumiałe i

przestrzegane przez wszystkich uczestników rynku. Przystąpienie do OECD wymagało zatem zredefiniowania roli Państwa w gospodarce, a nie jego „zmniejszania” na liberalną modłę, co prowadziło faktycznie do jego osłabiania, a w rezultacie do niewydolności instytucjonalnej.

Czy reszta świata doceniła to, co musieliśmy zrobić, by znaleźć się w OECD?

Polska została uznana za godnego zaufania partnera gospodarczego i finansowego dopiero w chwili wejścia do OECD. „Okragły Stół” 17 lat temu dał na to szansę, przystąpienie do OECD siedem lat później było jej wykorzystaniem. Poprawiliśmy swoje notowania, nie tylko w oczach rządów innych państw, ale przede wszystkim na światowym rynku, u globalnych inwestorów, przedsiębiorców, finansistów. A także – co nie bez znaczenia – w Unii Europejskiej, wtedy dopiero co poszerzonej o Austrię, Finlandię i Szwecję.

Zaraz potem uzyskaliśmy dobre, inwestycyjne ratingi od najważniejszych agencji – Moody’s, Standard & Poor’s, ICBA – co ułatwiło wejście po raz pierwszy z polskimi papierami na europejski i światowy rynek kapitałowy. W ślad za tym spadły koszty obsługi długu zagranicznego i pozyskiwania przez Polskę środków z międzynarodowych rynków finansowych. Wzrosło zaufanie inwestorów do rynkowej przyszłości naszej gospodarki, co wywołało wzrost bezpośrednich inwestycji zagranicznych. Przynależność do OECD skokowo przeto podniosła nasz prestiż, bo jeśli ta organizacja uznaje, że kraj dobrze „prowadzi się” gospodarczo, to rynki – a dokładniej banki, biznes, przedsiębiorcy i inwestorzy – słuchają. I to zdecydowanie bardziej niż tego, co głoszą same zainteresowane rządy.

Z kim podpisywał pan w Paryżu ten historyczny akt?

Z akurat teraz odchodzącym Sekretarzem Generalnym OECD, Kanadyjczykiem Donaldem Johnstonem. W jedenastym dniu swego urzędowania mógł powitać tak wspianą kraj jak Polska, budzący coraz więcej uznania i zainteresowania na świecie. Przyjęcie nas do OECD pokazało, że zdaliśmy już maturę w dziedzinie „gospodarka rynkowa”, choć jeszcze nie ukończyliśmy studiów, jakimi była integracja z Unią Europejską. Zarazem był to istotny czynnik przyspieszający tempo wzrostu gospodarczego.

Co jednak nie uchroniło nas przed załamaniem wzrostu, z jakim mieliśmy do czynienia w następnych latach.

Cóż, wzięło się to stąd, że – pomimo ewidentnego postępu strukturalnego i instytucjonalnego osiągniętego podczas realizacji „Strategii dla Polski” w latach 1994-97 – od 1998 roku prowadzono z kolei ewidentnie błędną politykę gospodarczą opartą o błędne teorie ekonomiczne. Podobnie zresztą jak na początku minionej dekady, co jest zrozumiałe, zważywszy, że u steru tej polityki stały te same osoby. Szybko i niepotrzebnie doprowadzono do przechłodzenia gospodarki, a nawet – jak powiadają niektórzy – do jej „zarżnięcia”. Po angielsku brzmi to ładniej – *overkilling* – ale po polsku trafniej i dobitniej.

Gdy po doprowadzeniu Polski do OECD – a było to jednym z moich celów jako wicepremiera i ministra finansów – odchodziłem z rządu w 1997 roku, PKB na mieszkańca (w II kwartale 1997) rósł o 7,5 procent. Gdy kilka lat później zaproponowano mi ponowne wejście do rządu, tempo wzrostu PKB wynosiło (w IV kwartale 2001) roku rachityczne, śladowe 0,2 procent! Takie załamanie dynamiki – od boomu i „tygrysa Europy” do stagnacji i regionalnego outsidera – nie zostało spowodowane żadnymi istotnymi przyczynami zewnętrznymi, lecz karygodnymi błędami polityki gospodarczej. Chodzi tu o źle wdrażane i nieskoordynowane tzw. cztery wielkie reformy, niespójność polityki budżetowej i monetarnej oraz źle adresowane cięcia wydatków publicznych, skądinąd nie dające pożądanego skutku, bo deficyt budżetowy w latach 1998-2001 z nawiązką podwoił się, co dotkliwie odczuwamy do dziś. Nadmiernie restrykcyjna polityka pieniężna prowadziła do szkodliwej aprecjacji

złotego, co załamało opłacalność eksportu i podniosło atrakcyjność importu, powodując z kolei bankructwa wielu firm i ponowny skok bezrobocia, które wzrosło o zatrważający milion osób, miast o kolejny milion się obniżyć.

Był jeszcze kryzys finansowy na rynku rosyjskim.

Tak. I był także kryzys finansowy wcześniej w Azji Południowo-Wschodniej, a później w Brazylii i Argentynie. No i plamy na słońcu. A 50 lat wcześniej Plan 6-letni... Nie dajmy się ogłupiać. Wielki jakoby wpływ „kryzysu rosyjskiego” na naszą koniunkturę gospodarczą to nonsens. Finansowe i walutowe perturbacje w Rosji mogły – i to przy daleko idących założeniach – zdjąć nam co najwyżej 1 punkt procentowy z dynamiki gospodarczej, gdyż wpływ na poziom produkcji i zatrudnienia w Polsce handlu z Rosją (bezpośrednio) i oddziaływanie globalnych rynków finansowych (pośrednio) był bardzo ograniczony. Ubyło nam zaś ponad 7 punktów z dynamiki wzrostu!

Tuż przed wyborami we wrześniu 1997 roku ówczesny przewodniczący Unii Wolności, a wtedy też były i przyszły minister finansów, skrytykował rząd SLD-PSL za ...zbyt niskie tempo wzrostu gospodarczego i zapowiadał podwojenie PKB w ciągu 10 lat. Wymagało to tylko utrzymania tempa rozwoju, z którym zostawiłem mu gospodarke. Ale rząd AWS-UW, przy niebagatelnej pomocy NBP, bardzo szybko sprowadził tempo wzrostu do niemal zera i ani Rosja, ani żaden inny kraj nie miały z tym nic wspólnego.

Regres udało się zahamować dopiero w drugiej połowie 2002 roku dzięki działaniom, które podjąłem będąc ponownie w rządzie i ponownie odchodząc od neoliberalnej ortodoksji. Oddłużyliśmy wówczas jednorazowymi decyzjami około 60 tysięcy przedsiębiorstw, ratując dzięki temu jakieś ćwierć miliona miejsc pracy. W ponad 99 procentach były to intencjonalnie tak hołubione, a realnie tak dożywane przez politykę nadmiernego przechłodzenia małe i średnie firmy prywatne. Dokonane zostały też prorozwojowe zmiany w strukturze budżetu i kolejna – po zadecydowanej jeszcze w 1996 roku – skokowa obniżka podatków dla firm. W rezultacie w pierwszym kwartale 2004 tempo wzrostu PKB sięgnęło znowu 7 procent i mogłoby utrzymywać się na zbliżonym poziomie dotychczas, gdyby tylko dostatecznie konsekwentnie wdrażany był „Program Naprawy Finansów Rzeczypospolitej”. W skali całego 2004 roku PKB zwiększył się o 5,3 procent, ale w roku 2005 już tylko o 3,4. Brak determinacji SLD we wdrażaniu tego programu skłonił mnie do odejścia z rządu. Ważniejsze jednak jest to, że znowu straciliśmy impet rozwojowy, którego obecny rząd bynajmniej nie jest w stanie odzyskać.

Wygląda na to, że pana zdaniem dobrodziejstwem dla Polski były rządy SLD?

Co do końcówki rządów SLD, to już ją przed chwilą skomentowałem. Była marna. No bo się nie słuchali... A jeśli chodzi o moje lata w rządach SLD i koalicjantów – i wtedy, gdy wprowadzałem Polskę do OECD, i wtedy gdy finalizowaliśmy integrację z Unią Europejską – to fakty są oczywiste: podczas realizacji „Strategii dla Polski” i wdrażania „Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej” mieliśmy najszybsze tempo wzrostu w minionym ćwierćwieczu. W sumie w latach, gdy kierowałem polską gospodarką w SLD-owskich rządach, realny PKB na jednego mieszkańca zwiększył się aż o około 1/3! Przywiązywaliśmy wtedy też większą wagę do budowy społecznej gospodarki rynkowej, do bardziej zrównoważonego podziału dochodów, nie preferowaliśmy żadnego sektora gospodarki z powodów ideologicznych, zdecydowanie bardziej prorozwojowa i zorientowana na inwestowanie w kapitał ludzki była polityka budżetowa. I wszystko to działało się bez rozmiękczenia polityki finansowej. W latach 1994-97 przecież jednocześnie bezrobocie spadło o jedną trzecią i inflacja obniżona została o dwie trzecie. Gdy odchodziłem drugim razem z rządu, w połowie 2003 roku, inflacja wynosiła poniżej pół procent, deficyt

budżetowy spadał, a niewielki deficyt na rachunku obrotów bieżących był całkowicie pod kontrolą.

Trzeba być ślepcem lub głupcem – albo też służyć innej sprawie – by tego nie dostrzegać i nie doceniać. Prowadzenie rozważnej polityki gospodarczej – tym razem opartej o właściwą teorię ekonomiczną, bez popadania w krótkowzroczność i politykierstwo na zasadzie „kto komu, kto z kim, kto za ile” – dało zatem niezłe dla Polski rezultaty. Jeśli nie były to efekty znakomite, to w sumie w obu tych okresach najlepsze w minionym trzydziestoleciu.

Zgodzi się pan jednak, że załamanie gospodarcze związane z transformacją było nieuniknione?

Załamanie produkcji w ogóle było nieuniknione, ale skala recesji byłaby znacznie mniejsza, gdyby nie niepotrzebne szoki bez właściwej terapii. W wyniku błędnej polityki opartej na nie przystających do polskich realiów koncepcjach transformacji i rozwoju, wyznawanych na początku lat 90. i ponownie w latach 1998-2001, a także wskutek niedostatecznej troski o nadrzędne interesy społeczne i uleganie naciskom grupowych interesów, straciliśmy bezpowrotnie tyle dochodu, że gdyby podejmowano wówczas właściwe decyzje, to dziś nasz PKB byłby o około 60 procent wyższy. Zauważmy, że nie tylko niektóre inne tzw. wschodzące gospodarki rynkowe, jak odległe Chile czy Malezja, ale bliskie nam Litwa i Estonia, Słowenia i Słowacja w latach 1998-2001 i ponownie w okresie 2005-06 radzą sobie w podobnych warunkach naturalnych, geopolitycznych i systemowych dużo lepiej niż Polska. A działa się tak, bo miały polityków gospodarczych podejmujących decyzje oparte o racjonalne założenia ekonomiczne.

Dziś nasz PKB na jednego mieszkańca wynosi, według parytetu siły nabywczej, około 13 tysięcy dolarów (według bieżącego kursu rynkowego około dziewięć tysięcy). A moglibyśmy już mieć, podobnie jak Portugalia czy Słowenia, po około 20 tysięcy dolarów. Trzeba było tylko nie dopuścić do zbyt głębokiej recesji na początku minionej dekady i utrzymać dynamiką lat „Strategii dla Polski” w następnym okresie. Te siedem tysięcy dolarów „do tyłu” to wysoka cena, jaką każdy z nas, średnio biorąc, musi zapłacić za błędy rynkowego fundamentalizmu. Dochód nie wytworzony jest dochodem utraconym raz na zawsze. Trzeba wiedzieć, czemu i komu to zawdzięczamy.

Skoro nie mamy tych 20 tysięcy dolarów, to może jednak nie mogliśmy ich mieć. Nasza gospodarka była przecież marnie przygotowana do wyzwań gospodarki rynkowej.

Bynajmniej, jeśli porównać nasz kraj do innych okolicznych państw w tamtym czasie. Pewne procesy trwały już od początku lat 80., a to wskutek reform koordynowanych przez profesorów W. Bakę i Z. Sadowskiego. Tylko ignoranci mogą tego nie widzieć. Tendencyjne fałszowanie przeszłości, tworzenie swoistej „czarnej legendy”, ma miejsce z przyczyn ideologicznych i politycznych po to, by następstwa nieudanych decyzje pokazać jako wmawianą ludziom „biel” lśniąca na tle rzekomej „czerni” dawniej już minionych lat. Częściowa liberalizacja ekonomiczna lat 80. znakomicie ułatwiła nam – podobnie jak Węgrom czy Słoweńcom, a w obszarze byłego ZSRR Estonii – późniejsze przyspieszenie przemian systemowych i budowę dojrzałej gospodarki rynkowej, prowadząc nas od Okrągłego Stołu poprzez OECD do Unii Europejskiej.

To fakt, że recesja transformacyjna w Polsce trwała krócej niż w innych krajach regionu, bo tylko trzy lata, od połowy 1989 roku, kiedy to „Solidarność” przejęła władzę, do połowy 1992 roku. Straciliśmy wówczas w sumie około 20 procent PKB. To fakt, że była to najpłytsza recesja pośród wszystkich krajów posocjalistycznych. Ale oba te fakty były nie tyle skutkiem dobrej polityki lat 1990-92, bo ta akurat była zła, ale następstwem rynkowo ukierunkowanych

reform przeprowadzonych przed 1989 rokiem. Gdyby nie tamte reformy „szok bez terapii” kosztowałby nas jeszcze dużo, dużo więcej, niż przyszło nam zań w rzeczywistości zapłacić.

Przypomnijmy, że już w połowie 1989 roku połowa cen (w ujęciu wartościowym) była kształtowana przez rynek a nie przez administrację, banki państwowe zostały skomercjalizowane, mogła się rozwijać prywatna przedsiębiorczość wytwarzająca (łącznie z rolnictwem) już wtedy ponad 20 procent PKB. Istniał urząd antymonopolowy, stworzono ramy prawne dla prywatnej przedsiębiorczości, dopuszczano inwestycje zagraniczne, częściowo zliberalizowano obrót walutowy. Do OECD był jeszcze wielki – a jakże – szmat drogi, ale już od 1986 roku byliśmy ponownie członkiem MFW i Banku Światowego.

Mieliśmy też hiperinflację, którą trzeba było zahamować...

Oczywiście, że trzeba było. I w tej sprawie w gronie ekonomistów nie było kontrowersji. Chodziło tylko o to, aby przy okazji nie spowodować zbyt dużej destrukcji w sferze realnej. Inflacja w pierwszej połowie 1989 roku wynosiła około 140 procent (w ujęciu rocznym). Bez mała wszystko było coraz droższe i niewiele można było w normalnym trybie kupić. Ten koszmar nazwałem w literaturze angielskiej *shortageflation*. Należało więc podjąć skuteczne kroki stabilizacyjne. Zgadzano się na ogół, że mają to być twarde działania ograniczające popyt tak, by przy równoczesnej liberalizacji cen działał mechanizm cen oczyszczający rynek, a więc utrzymujący równowagę rynkową.

Niestety, operację stabilizacyjną przeprowadzono fatalnie, ponosząc znacznie większe koszty, niż to było nieuniknione i uzyskując rezultaty znacznie mniejsze, niż było to możliwe. Zupełnie wbrew zasadom prakseologii. Przyznali to zresztą pośrednio sami autorzy programu stabilizacyjnego. Zakładali, że już po kwartale działań stabilizacyjnych miesięczna stopa inflacji spadnie do 1 procenta; tymczasem nastąpiło to ...po siedmiu latach. PKB miał spadać tylko przez rok, zmniejszając się raptem o 3,1 procent; spadał w sumie trzy lata i obniżył się o jedną piątą. Bezrobocie miało osiągnąć 600-800 tysięcy osób; po trzech i pół latach przekroczyło trzy miliony!

Być może tego wszystkiego po prostu nie dało się uniknąć?

Otóż można było. I było to wiadome wtedy, i jest wiadome teraz. Oczywiście, że nie można było całkowicie uniknąć recesji transformacyjnej, hiperinflacji korekcyjnej, pojawienia się i początkowego narastania bezrobocia. Rzecz w nadmiernej skali tych bolączek, która została wywołana przestrzeleniem polityki stabilizacyjnej. Powtórzmy: dobrą politykę gospodarczą można prowadzić tylko w oparciu o dobrą teorię. To warunek konieczny, lecz niewystarczający. Niezbędne są także określone warunki polityczne. A te – zwłaszcza w 1990 roku – były wyjątkowo sprzyjające, gdyż skala przyzwolenia społecznego na głębokie i dotkliwe reformy była niebywała. I zmarnowano taką szansę!

Nadmiernie zliberalizowano handel zagraniczny (z czego zresztą już 1991 roku rząd po części sam się wycofał), co w obrotach z państwami zachodnioeuropejskimi spowodowało wieloletnią przewagę importu nad eksportem. Niestęchanie wysokie stopy procentowe, obejmujące także kredyty zaciągnięte w przeszłości, zrujnowały wiele przedsiębiorstw, również tych nowo powstających. Była to oczywiście ekonomiczna głupota, w dużej mierze motywowana ideologicznie. Fałszywie interpretowano poglądy Schumpetera o „twórczej destrukcji”. Mieliśmy sporą destrukcję, ale niewiele twórczej.

W końcu 1989 roku kraje zachodnie utworzyły na potrzeby programu liberalizacji i stabilizacji specjalny fundusz przekraczający miliard dolarów. Był to swoista rezerwa bezpieczeństwa, po którą mógł sięgnąć rząd Polski, by ułatwić przejście przez najtrudniejsze fazy programu stabilizacji. Niestety, nie wykorzystano z tej puli ani jednego dolara, gdyż program okazał się w oczywisty sposób zbyt restrykcyjny. Zapłaciliśmy za to wszystko

nadmierną recesją, spauperyzowaniem wielkich rzesz społeczeństwa, wpędzeniem milionów ludzi w bezrobocie i biedę, z której wciąż wielu nie może się wydobyć. A kraje, które kiedyś oglądały nasze plecy, dziś nam je pokazują.

A gdyby na przełomie lat 80. i 90. kierował pan naszą gospodarką, umiałby pan uchronić od ruiny PGR-y i uratować choćby część naszego przemysłu zmiecionego z powierzchni ziemi? To stamtąd pochodzą miliony biednych, wykluczonych rodzin.

Oczywiście, przecież już wtedy proponowałem – zresztą nie tylko ja – alternatywne kierunki i metody kroczenia do rynku i stabilizacji. Recesja mogła trwać krócej i być płytsza, restrukturyzacja znacznie mniej bolesna, a wzrost gospodarczy zacząłby się prędzej. PGR-y miałyby rujnować, należało przekształcić po części w spółki pracownicze typu spółdzielczego, a po części w spółki z o.o., uwłaszczając pracujących tam ludzi i zrobić z tego wielkoobszarowe i wielkotowarowe rolnictwo farmerskie. Spokojnie można było to przeprowadzić, bez ekonomicznych szoków i politycznych fajerwerków, ale za to z dużą dozą terapii.

A Jeffrey Sachs, uchodzący za „ojca chrzestnego” polskiej transformacji?

Cóż, on przynajmniej zmienił swoje poglądy i teraz bardziej przypomina Samarytanina niż neoliberalnego hunwejbina, którym jawił się 17 lat temu. Gdy mu się wytyka, że dziś mówi co innego niż w przeszłości, odpowiada: „młody byłem”. Niestety, wywarł on wtedy duży i zgubny wpływ na niektórych zaskoczonych przejęciem władzy – i do tego kompletnie nieprzygotowanych – prominentów „Solidarności”. Wszystkich nas to drogo kosztowało. Gdy w 1997 roku spotkałem się z Sachsem w Davos i gratulowałem mi znakomych wyników w sterowaniu polską gospodarką, zapytałem: „Jeff, to znaczy, że przyznajesz mi rację?” „Tak”, odpowiedział i dodał: „Ale na dobrą sprawę to nigdy się tak bardzo nie różniliśmy”. Otóż nie; różniliśmy się jednak bardzo.

Są ekonomiści – nie tylko Leszek Balcerowicz – którzy nie podzielają pana ocen i uważają, że, zwłaszcza na początku lat 90., nie można było prowadzić innej polityki gospodarczej.

Udowodniono już w sposób oczywisty, że można było. Pomijając naszych rodzimych krytyków, pisało o tym wielu uczonych: od profesorów Taguchiego w Japonii i Popowa w Rosji poprzez Nutiego we Włoszech i Lavigne we Fracji do Northa i Stiglitz w USA. Niech pan jednak nie oczekuje, że mylący się profesorowie ekonomii czy też politycy gospodarczy wycofają się ze swych wcześniejszych poglądów. Nawet jeśli czasem przyjdzie im do głowy, że może jednak nie mają racji, to zwalczają tę myśl i do upadłego bronią „słuszności” swych poglądów i działań. Doktrynerstwo i zacietrzewienie ideologiczne mają duży wpływ na głoszone poglądy i – co gorsze – na podejmowane decyzje. Czasami nawet większe niż interesy. Doktrynerom już niewiele pomoże, zwłaszcza że bronią oni nie prawdy naukowej i społecznego interesu, lecz własnego prestiżu i pozycji.

W polskim świecie polityki mieliśmy niewielu ludzi, którzy w odpowiednim momencie przejrzeni na oczy i powiedzieli „nie”. Jednym z nich był prof. Zawisłak, minister przemysłu w 1991 roku, który podał się do dymisji oświadczając, że nie będzie uczestniczył w rujnowaniu polskiej gospodarki. Był też Jacek Kuroń, nie ekonomista, ale człowiek światły, który w porę zobaczył, co się dzieje – i zmienił poglądy. Jest też Karol Modzelewski, który inaczej widział tamte czasy wtedy, inaczej postrzega je teraz.

Teraz mamy rząd, o którym można powiedzieć wszystko, ale nie to, by jakkolwiek liberalizm, także ekonomiczny, był mu bliski.

Trudno powiedzieć, co temu rządowi jest bliskie. Polska gospodarka w tym roku rozwija się nie najgorzej. Tempo wzrostu PKB oscyluje wokół pięciu, choć potencjał mamy na przynajmniej sześć do siedmiu procent rocznie. Ale i te pięć procent przyrasta nam

bynajmniej nie z powodu dobrej polityki gospodarczej rządu, bo znamiona takowej trudno dostrzec, ale siłą rozpędu z niedawnej przeszłości, na bazie w miarę solidnych fundamentów makroekonomicznych i rozkwitu prywatnej przedsiębiorczości, a także wskutek integracji europejskiej. Jednakże samoistnie, bez wsparcia odpowiednią polityką, nawet takiej dynamiki nie da się utrzymać. Całe szczęście, że jesteśmy już i w OECD, i w Unii Europejskiej, bo gdybyśmy tam nie dotarli wcześniej, to wobec braku strategicznej koncepcji rozwoju moglibyśmy tam nie trafić nigdy.

Rozmawiał Andrzej Dryszel